



Wraz z kolegami przedzieraliśmy się na Węgry, skąd zamierzałem dotrzeć do polskiej armii formującej się we Francji. Zostałem aresztowany. Z więzienia w Nowym Sączu przewieziono mnie do Tarnowa. W tarnowskim więzieniu przyjęto nas bez specjalnego powitania. Strażnicy mówiący po polsku rozprawdzili nas po celach bez krzyków i bicia. Mnie i Stacha umieszczono celi na pierwszym piętrze, było nas tam dwudziestu czterech. Edziowi nie udało się do nas wkroczyć. Oczywiście prycze też były piętrowe, ale trochę wygodniejsze niż w Nowym Sączu. W rozmowach przyjaciół rozważaliśmy częstokroć sprawę przypuszczalnego okresu naszego pobytu w więzieniu i końcowego rezultatu aresztowania. Trzynastego czerwca już przed południem wybuchła "bomba": szykują transport!. Ruch był w całym więzieniu przez parę godzin. Wszystkim wyczytano kazano przygotować się do opuszczenia cel późnym popołudniem. Zaczęliśmy też porządkować swoje prycze, w podnieceniu oczekując sygnału i snując najróżniejsze domysły na temat przygotowywanego transportu. Tego dnia kolację wydano znacznie wcześniej i zaraz potem zaczęto wyprowadzać na plac grupki ludzi z poszczególnych cel. Trwało to dosyć długo, ponieważ prawie każdy z więźniów posiadał jakiś depozyt, który należało pobrać w dyżurce i pokwitować. Zaczęło się już ściemniać. Zgromadzono nas ponad siedmiuset. Niebawem na więzienny dziedziniec wkroczył duży oddział uzbrojonych żandarmów otaczając nasz gęstym kordonem. Otwarto bramy więzienia. Prowadzono nas pustymi niemal ulicami w nieznanym kierunku najmniej kwadrans, aż zatrzymano ten liczny korowód przed okazałym budynkiem łaźni. Gdy straż obstały łaźnię, wpuszczano nas kolejno do środka i po raz pierwszy od czasu aresztowania pozwolono wszystkim na dobrowolne korzystanie z błogosławionej wody, której było tu wreszcie pod dostatkiem. Kłaść się i żadnych rozmów więcej! Jeśli ktokolwiek nie podporządkuje się rozkazowi, zostanie zastrzelony! - wrzeszczał jeden z gestapowców. Skoro świt poderwano

nas na nogi. Ustawianie i przeliczanie setek trwało ze trzy kwadransy chyba. Liczono nas ponownie po raz czwarty. Posypały się kopniaki i uderzenia. Motocykl wolno potoczył się ulicą, w ślad za nim ruszyło czoło kolumny. Ludzie szli poważni i przygnębieni. Byli wśród nas mieszkańcy Tarnowa, im chyba było najtrudniej. To przygnębione terrorem miasto głęboko przeżywało wyjazd naszego transportu. Niejedna matka opłakiwała syna, niejedna żona - męża, niejedno dziecko - kochanego tatusia. W końcu bez pośpiechu wdrapywaliśmy się do wagonów, wewnątrz panował zaduch. Okna były zadrukowane. Udało mi się wcisnąć pomiędzy siedzących współtowarzyszy, następni musieli już siadać na podłodze. Wkrótce w bocznym korytarzu ustawili się żandarmi - jeden naprzeciw każdego przedziału. W kwadracie uchylonej szyby zamajaczyły wieże Krakowa, a w kilkadziesiąt sekund później obok torów ukazały się mury pierwszych kamienic. Z sufitu, jak z pieca hutniczego, buchał nieznośny żar. Spękane wargi łaknęły choć kropli wody. Język przysychał do podniebienia. Cóż bym dał teraz za odrobinę jakiegokolwiek płynu. Wreszcie ukazał się płaski dach stacyjnego peronu, przed którym była duża tablica z napisem "Auschwitz". Hamując, pociąg wtoczył się na jakiś boczny tor i zatrzymał się przy betonowym płocie, odgradzającym stację od przyległej ulicy. Uzmysłowiłem sobie, że wjechaliśmy na jakieś dawno nieużywane torowisko. Przez dłuższą chwilę trwała cisza, a potem pod samym oknem przedziału rozległ się mocny gardłowy krzyk: "Loos!.Przygotować się do wysiadania!". Wokół uwijali się hitlerowcy, każdy z bykowcem lub pałką w dłoni. Łudzaco przypominali gestapowców. Duże kabury z ciężkimi pistoletami obciążały pasy. Mundury, które nosili, miały kolor zielony, a jedna z czarnych naszywek na kołnierzyku błyszczała stylizowanym znakiem SS. Bili po twarzach, po głowach, plecach i rękach. Kopali w brzuch, w nerki, w golenie nóg. Chodzili wolno pomiędzy wyprężonymi na baczność, sterroryzowanymi strachem więźniami, jak głodne sępy szukając ofiar swych sadystycznych instynktów. Co chwilę dochodziły głuche odgłosy uderzeń zmieszane z jękiem maltretowanych. Bukowe kołki jak cepy raz po raz unosiły się w górę. Słabsi, jak cięte kłosa padali gęsto na ziemię, aby z kolei znaleźć się w zasięgu okutych butów gestapowców, kopiących gdzie popadnie. Krew, mieszając się z kurzem, plamiła koszule i bluzy ofiar. Dopiero się zaczęło, a już niektórzy z więźniów nie byli w stanie stać o własnych siłach. Więzienie, głód, brak wody i bicie sprawiły, że ludzie ci, niegdyś zdrowi i silni, byli u krańca wytrzymałości fizycznej. Rozejrzałem się nieco. Na wprost przede mną rozpościerał się kompleks masywnych, szaro otynkowanych budowli, składających się z kilku pojedynczych bloków. Rzucił się w oczy najbardziej obramowany wysokim ogrodzeniem dwupiętrowy budynek. Wewnątrz, za ogrodzeniem, od strony torów ciemniała ludzka ludzką masą znaczna część wyładowanego transportu. Opodał, na uboczu, żywo odcinał się od otoczenia jasny oddział ustawionych w dwuszerę ludzi. Niemcy ustawili się wąskim szpalerem w niewielkich odległościach. Każdy trzymał w ręku gruby knypel. Niemcy w szpalerze niecierpliwiili się coraz bardziej. Pierwszy rząd truchtem ruszył w stronę rozstawionego szpaleru. Uderzenia posypały się jak grad na karki oszołomionych ludzi. Dotychczasowe traktowanie nas było igraszką w porównaniu z tym, co nastąpiło teraz. Bici padali na ziemię, zrywając się, pędzili w panicznym strachu do przodu, by z kolei dostać się pod zmasowane ciosy oprawców szalejących w rozstawionym szpalerze. Piekło rozpętało się na dobre. Niektórzy oślepieni krwią zalewającą im oczy, wpadali na rozwścieczonych hitlerowców. Krzepnąca krew brunatną mazią sklejała mokre od potu włosy. Twarze opuchnięte i zbite, głowy porozbijane, odzież podarta. Niektórzy brudnymi rękoma osłaniali głębokie, krwawiące rany. Młodemu chłopcu ciekły z oczu łzy. Ludzie osłabieni i zrezygnowani, reagowali coraz to obojętniej na wszystko, co działo się dookoła. Z determinacją poddawali się okrutnemu losowi, wyczuwając, że jakkolwiek odruch

samoobrony jednoznaczny był z natychmiastowym wyrokiem śmierci. Tych, co padali, z wysiłkiem dźwigali współtowarzysze. Nie było słycać skarg, nie było aktów rozpacz. W ciągu tych paru godzin zrobiono z nas nędzarzy - okaleczono nas, złamano nie tylko nasze ciała, ale i niejednego ducha. Wszyscy Ci, nawet najbardziej wytrzymali, zaczęli tracić nadzieję na przetrwanie w warunkach, jakich próbki przyszło nam dziś doświadczyć. Tyle cierpień przeżyło się w więzieniu po to, aby tutaj skończyć w tak okrutny sposób. Wchodząc po betonowych schodach i chwytając się poręczy znalazłem się w wąskim długim korytarzu. Więźniowie kierowani, przez grubego blokowego, wchodzili do wnętrza kolejnych sal. Zastanawialiśmy się jak przetrzymamy tą pierwszą noc w piekle zwanym Auschwitz.